



Mirosław Derecki

LUBELSKIE LATA EDWARDA STACHURY (5)

Rozpoczął się „okres warszawski” Steda. Od października 1960 r. był studentem filologii romańskiej Uniwersytetu Warszawskiego; mieszkał w domu akademickim przy ul. Kickiego, na Grochowie.

Jeśli chodzi o pisanie, to sukces gonił teraz za sukcesem. Jeszcze podczas wakacji, we wrześniowym, dziewiątym numerze „Twórczości” ukazało się opowiadanie Stachury „Jeden dzień”; w 1961 r. „Twórczość” wydrukowała jego „Listy do Olgi”; „Nowa Kultura” - „Jasny pobyt nadrzeczny”, opowiadanie, które w 1960 r. wyróżniono na konkursie zorganizowanym przez redakcję tego tygodnika oraz wydawnictwo „Książka i Wiedza”. Stachura dołączył do Orientacji Poetyckiej Hybrydy działającej przy słynnym studenckim klubie z ulicy Mokotowskiej (skupieni tutaj poeci to: Maciej Z. Bordowicz, Krzysztof Gąsiorowski, Andrzej Jastrzębiec-Kozłowski, Zbigniew Jerzyna, Jerzy Leszin-Koperski, Jarosław Markiewicz, Andrzej Zaniewski, Janusz Żernicki); przez dwa lata Stachura będzie redagował dział poetycki w jednodniówce Hybryd - „Widzenia”.

I największy sukces roku 1961 - Nagroda Młodych Miasta Warszawy dla Steda...

Mimo przeniesienia się

do warszawy Stachura nadal utrzymywał bliskie kontakty z Lublinem, a także z „Kameną”. W połowie 1961 r. zamieścił na jej łamach opowiadanie „Królewicz” (nr 15); w roku 1962 - opowiadanie zatytułowane „Koniec miesiąca marzec” (nr 22).

Zaraz potem wyszedł nakładem „Czytelnika” jego debiutancki tomik opowiadań „Jeden dzień”. Rok następny, 1963, miał przynieść wydany przez „Iskry” tomik poezji - „Dużo ognia”.

Zarówno „Jeden dzień” jak i „Dużo ognia” były pokłosiem „okresu lubelskiego” Edwarda Stachury. Jeśli nawet nie wszystkie zamieszczone w nich utwory zostały napisane wówczas, gdy Sted mieszkał i studiował w Lublinie, to wyniknęły one - tak uważam - z uwarunkowań intelektualnych i kulturalnych, z atmosfery życia uniwersyteckiego i życia kulturalnego miasta i środowiska, w którym Stachura się znalazł, przywędrowawszy do Lublina ze skromnym jeszcze bagażem intelektualnym oraz - jeszcze mniejszym -

doświadczeniem artystycznym. Różnica między pisarstwem Steda z jesieni 1958 r. i jesieni roku 1960 jest kolosalna. Bez owych lat spędzonych w Lublinie nie byłoby u niego tego zdumiewającego twórczego „przyspieszenia”, gdy Stachura trafił, w 1960 r., na jeszcze bardziej żyzny, jeszcze mocniej stymulujący grunt warszawski...

Lubelskie akcenty bardzo wyraźnie widać w tomiku „Jeden dzień”: pan Zarębski z opowiadania „Jak mi było na Mazurach”, to lubelski poeta średniego pokolenia i ówczesny sekretarz techniczny „Kameny” - Stefan Zarębski, który, wyjeżdżając na wakacje do Nałęczowa, użyczył Stedowi pokoju w swoim lubelskim mieszkaniu. Staszek Rostworowski z opowiadania „Królewicz”, który załatwił Stachurze palto zimowe to Stanisław Rostworowski, ówczesny działacz Rady Uczelnianej ZSP na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a później: współzałożyciel Chrześcijańskiego Stowarzyszenia Społecznego, dziennikarz, wieloletni poseł na Sejm; przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu PRON w Lublinie. Jeden pan Gralewski z „Nocnej jazdy w pociągu” to Wacław Gralewski, znany lubelski dziennikarz i literat, przyjaciel Czechowicza, działacz kulturalny, a w czasie, gdy Edward Stachura mieszkał w Lublinie, także kierownik administracji „Kameny”. Wreszcie: pan Turowski, którego nazwisko pada w opowiadaniu „Koniec miesiąca marzec”, był pracownikiem administracji KUL oraz opiekunem tamtejszej studenckiej młodzieży artystycznej.

Już w późniejszych latach lubelskie realia pojawią się w jednej z piosenek Stachury, zatytułowanej „Bójka w L.” (W Lublinie - przyp. M.D.):

*W samo południe na nieparyskim bruku
W lipca leniwy dzień,
W słońcu słodkim jak sen;
W samo południe na nieparyskim bruku;
Co wydarzyło się?
Oto spotkali się oko w oko
Na rogu dwu toczących wojnę ulic;
Z Nadrzecznej jedni wąskiej magistrali,
Zaś drudzy z Ulicy Jezuickie Rury. [...]*

Rury Jezuickie - to nazwa jednej z dawnych przedmiejskich dzielnic Lublina; dzisiaj straciła już ona swój ówczesny charakter; zbudowano tam nowe osiedla Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. Przebiega wzdłuż niej ulica Nadbystrzycka; wąska i długa ulica Nadrzeczna znajduje się w dzielnicy Dziesiąta, w zupełnie innej części miasta. Więc owo „skrzyżowanie” odległej Nadrzecznej z „ulicą” Rury Jezuickie to u Steda swoista „licentia poetica”...

Jak się już rzekło, Stachura, mieszkając w stolicy, nie zapominał o Lublinie. Wpadał tutaj nagle, odwiedzając już to „Mistrza” (Zygmunta Mikulskiego), już to „Kamenę”, czasami wpadał na Bronowicką do K. A. Jaworskiego na pogwarki; pomieszkiwał też u Wojciecha Papieża - studenta historii sztuki na KUL-u, trochę poety, człowieka niekonwencjonalnego, którego jedną z namiętności były skoki narciarskie na prymitywnej sztucznej skoczni przy stadionie „Lublinianki”, gdzie w każdym momencie ryzykowało się skręceniem karku.

Wyjeżdżali razem z Papieżem na Mazury

Zaś w Lublinie, w domku na Czechowie, niedaleko strzelnicy, odbywały się, także z udziałem Steda, pamiętne „balangi”... Dzisiaj Wojtek Papież reperuje samochody. I powiada, że to zajęcie absolutnie nie koliduje z historią sztuki:

Prawdziwą bowiem sztuką jest „rekonstrukcja” tak zabytkowych obiektów, jakimi są, w większości, krążące po Polsce automobile!

Popularność Steda, zainteresowanie jego wierszami i opowiadaniem w tamtych latach?

[...] chciałbym odnotować drobny fakt, świadczący jednak wymownie o wczesnej popularności młodzieńczych wierszy Stachury – pisze lubelski literat Janusza Olczak w liście do mnie z 30 X br. – Otóż w latach 1960-61 prowadziłem taki naiwny, można powiedzieć pensjonarski notatnik. Wśród różnych zapisów odnalazłem wiersz Stachury zanotowany ręką Janusza Żernickiego. Sam Żernicki był chyba wtedy poetą bardziej znanym od Stachury, a jednak w momencie koleżeńskiego uniesienia czy z innej okazji wpisał mi do notesu wiersz nie swój własny, tylko właśnie Stachury, który to wiersz także Janusz chętnie deklamował, a deklamował zawsze znakomicie. Zresztą Żernicki naprawdę żył poezją, tak jak inni żyją marzeniami czy złudzeniami.

Gdy po kilku latach przyjechałem do Lublina, okazało się, że Stachura jest tu postacią prawdziwie legendarną. Mówili o nim wszyscy, jakby wciąż jeszcze mieszkał w Kozi' Grodzie, studiował tu i uczestniczył w zebraniach Koła Młodych. [...]

Dodajmy nawiasem, że z Żernickim znał się Stachura z Ciechocinka; chodzili do tego samego liceum ogólnokształcącego. Potem kontaktowali się w Toruniu, dokąd Stedc przyjeżdżał jeszcze przed studiami na KUL-u. Janusz Żernicki uczęszczał już wówczas na Uniwersytet im. Kopernika, był członkiem i współzałożycielem poetyckiej grupy „Helikon”...

W 1963 r., (kiedy to Stachura został przyjęty do Związku Literatów Polskich) ukazało się w „Kamieniu” (nr 21) jego opowiadanie „W polu”, zaś w numerze 12 z 1964 r. wielkie, zajmujące prawie dwie i pół kolumny, opowiadanie: „Pod Annopolem”.

W „Słowniku Współczesnych Pisarzy Polskich” znajdujemy wiadomość, że opowiadanie to otrzymało II nagrodę „na konkursie WRN i Oddziału ZLP w Lublinie oraz Wyd. Lubelskiego, i „Kamień” w 1964 r.” Wiadomość tę należy uzupełnić uwagą, iż

pierwszej ani drugiej nagrody wówczas nie przyznano, a jedynie trzy nagrody trzecie. Otrzymali je: Edward Stachura, Jerzy Księżski („Mała kolejowa stacja”) oraz Zbigniew Stępek („Rówieśnica Manifestu”).

Pracowałem już wówczas od półtora roku na etacie w „Kamieniu” i nasłuchiłem się wtedy, jakie to problemy miało jury (Konrad Bielski – przewodniczący, Maria Bechczyc-Rudnicka, Edward Nadulski i Roman Rosiak) z wydaniem sprawiedliwego werdyktu.

Otóż opowiadanie Steda (Godło: „Łubin”) było bez najmniejszej wątpliwości utworem najlepszym, bijącym o kilka długości pozostałe. Sęk w tym, że nie za bardzo odpowiadało „na temat”. Celem konkursu, ogłoszonego w związku z obchodami dwudziestolecia Polski Ludowej, było „pokazanie czołowej problematyki społeczeństwa Lubelszczyzny, jego przemian ideowych, intelektualnych i obyczajowych na przestrzeni ostatnich dwudziestu lat” Tymczasem Sted, jak to Sted: pisał o koszeniu trawy nad Wisłą, o rozmowach z rolnikami podczas ostatniego lata, które spędził pod Annopolem w gościnnej zagrodzie Wacława Rychtera, pomagając mu w pracy, o tym, jak w pewien skwarny dzień zapalił się drewniany most na Wiśle i jak go, wspólnym wysiłkiem okolicznych mieszkańców, ugaszono... No, o wszystkim - tylko nie o przemianach „ideowych, intelektualnych i obyczajowych”...

Ostatecznie któryś z jurorów wpadł na koncept, że wspólny wysiłek dla ratowania wspólnego dobra, jakim bez wątpienia jest most, obiekt służący społeczeństwu, można „podciągnąć” pod przemiany ideowe i, na upartego, także - obyczajowe. A „intelekt” można sobie, od biedy, darować. Aby jednak nie skrzywdzić dwóch pozostałych pretendentów do głównej nagrody, których prace trafiały, przezornie, „w samo sedno” założeń konkursu, dano całej trojce równo: po III nagrodzie i po dziesięć tysięcy złotych.

Od 1 stycznia 1965 r.

„Kamena” miała nowego redaktora naczelnego. Po odejściu (w wieku 79 lat!) na emeryturę Marii Bechczyc-Rudnickiej na jej miejsce przyszedł Marek Adam Jaworski. Mimo zachodzących w zespole zmian oraz przygotowań do przejęcia „Kamienia”, dotowanej dotychczas przez Wydział Kultury WRN w Lublinie, przez RSW „PRASA”, redakcja mieściła się nadal jeszcze w lokalu Związku Literatów Polskich przy ulicy Granicznej.

I właśnie na Graniczną, chyba wiosną 1965 r., nadeszła z Warszawy koperta z maszynopisem opowiadania Stachury. Dołączony był do niego list Stada do mnie.

Cześć, Mirek! - zaczynał Stachura Piast, że chciałby, aby to opowiadanie zostało możliwie jak najszybciej wydrukowane w „Kamieniu”, i pytał czy mogę zająć się tą sprawą. Znaczyło to: „Susz głowę swojemu szefowi”... Dalej Sted informował, że był we Francji, gdzie wyjechał na krótkie (zdaje się miesięczne) stypendium do Paryża. Teraz przygotowuje nowy tomik opowiadań i rzecz, którą przysyła, wejdzie do tego zbioru. (Istotnie, w 1966 r.

ukazała się kolejna książka Stachury - „Falując na wietrze”). Postanowił skończyć z grą w karty. Zarabiać na życie tylko pisaniem (to już było czyste marzycielstwo!), więc tym bardziej są mu potrzebne pieniądze. Dlatego tak mu zależy, aby „Los niezłomny” jak najszybciej ujrzał światło dzienne. Kropka, coś tam jeszcze na zakończenie i Cześć! - Sted.

Opowiadanie wydrukowano w numerze 15 „Kameny” (z 16-31. IVIII. 1965 r.).

Ciekawe, że i ze względu na treść, jak i na formę „Los niezłomny” stanowił jakby kontynuację prozy poetyckiej: „Która jest jak oliwa na wodę” sprzed ponad pięciu lat („Kamena”, nr 1, z 15. I. 1960 r.), kiedy to Sted zaczynał coraz pewniejszym krokiem wstępować na „firmament” (jeszcze na razie) lubelski. Tylko, że „Los niezłomny” był bardziej dojrzały i bardziej... smutny. Jakby - muśnięty już przecuciem tego, co miało się stać w warszawskim mieszkaniu Poety - w kilkanaście lat później...

W 1960 r., pełen nadziei i wiary w przyszłość, Stachura kończył swoją poetycką wypowiedź słowami:

Wszystko można zrobić. Pory roku zmieniać w zgięciach przegubów. Syna przenosić do gajów oliwnych a gościnnych tak samo. Milego mu konia. Wszystko można napisać. Trzeba tylko posiadać umiejętność i czucie i jeszcze czułość, która jest jak oliwa na wodę.

Nie mówię, że ja to mam, chociaż nigdy nic nie wiadomo. Ja się teraz prawie nie liczę. Ale może kiedyś ja też będę się liczył. Będzie wyspa na jeziorze. Będę wyraźny. Będą mnie pielęgnować.

Teraz sobie wędruję, ale za to nie gniję. Droga wysysa mi pięty, ale za to nie gniję.

W roku 1965 w „Losie niezłomnym”. Sted pisał:

[...] Uznałem dzisiaj idąc, że przecież nigdy się na to nie zgodzę, żeby być, czym innym, niż jestem, a od czego się roją półkule. Ani na to, ani tak samo na to, że: jakoś to będzie, jak pan Bóg da zdrowie, a Matka Boska pieniądze, że coś się musi zmienić, byle do wiosny. Uznałem, że tysiąc ryzy wolę przeminąć jak kometa. Tysiąc razy wolę mignąć tylko jak meteor i wsiąknąć w niezgłębione mgły. [...] Szedłem prosto dalej. Szedłem jak we śnie, a jeszcze potem szedłem właściwie tak, jakby to już się stało. Jakby już mnie nie było. Jakbym to nie ja szedł, tylko mój cień złocisty. Ten sam, który długo po mnie będzie się tułał [...].

„Los niezłomny” - to było jak ostateczne zamknięcie „lubelskich lat” Stachury.

Ukończył studia

w 1965 r. Miał dwadzieścia osiem lat, został magistrem filologii romańskiej. W odróżnieniu od swoich kolegów-absolwentów Edward Stachura nie rozglądał się teraz za posadą, za etatem; on już od ponad dziesięciu lat był zatrudniony na stałe w instytucji, której na imię - Poezja...

Spotykałem w tamtych latach Steda raczej rzadko i najczęściej przypadkowo, głównie w Warszawie. Widzę go w pamięci - w różnych miejscach i sytuacjach: w kawiarni Związku Literatów Polskich przy Krakowskim Przedmieściu - jak gra w szachy; na „ciuchach” koło Dworca Wschodniego; na ulicy Wiatracznej na Grochowie; na rogu Nowego Świata i Foksal, - gdy mówi mi, że właśnie pisze nowe opowiadanie, a na moje bezsensowne pytanie: „Na ile stron?” odpowiada ze zdziwieniem: „Jak to: na ile? Na tyle - na ile się napisze!”.

W Lublinie zobaczyliśmy się znowu - latem 1967 r., podczas zorganizowanego tutaj, pierwszego (i jak dotąd: ostatniego) Zjazdu Młodych Pisarzy Polskich.

Dwudniowe obrady odbywały się w sali widowiskowej Domu Nauczyciela. Sted przyjechał na ten zjazd już w glorii poety - przedstawiciela nowego pokolenia, autora cieszącego się sławą i uznaniem jednych, a zawiścią - innych.

Zapamiętałem z owych dwóch dni: doskonały referat Tomasza Burka o młodej polskiej literaturze oraz płomienne przemówienie lubelskiego poety Henryka Pajaka na temat wolności słowa. I jeszcze to, że w pewnym momencie Zbigniew Słojewski, czyli Hamilton z tygodnika „Kultura”, wpuścił - dla kawału - na salę jakiegoś przygodnego psa, który zagłuszył któregoś z mówców swym histerycznym ujadaniem, (co zresztą wzbudziło ogólną radość wśród zebranych).

Zakończenie Zjazdu Młodych Pisarzy Polskich miało swój finał w klubie „Nora” przy Krakowskim Przedmieściu 32. Zorganizowano tam „wieczorek towarzyski” z muzyką i tańcami dla przybyłej do Lublina czołówki młodej polskiej literatury. Organizatorzy zafundowali ponadto każdemu - po dwa ciastka i po dużej kawie; za alkohol należało płacić z własnej kieszeni. To spotkało się z gorącymi protestami ze strony uczestników zabawy. A ich protest wyraził się w fakcie, że ciastek demonstracyjnie nie jedzono w ogóle, pijąc wódkę na pusty żołądek, co nie pozostało bez wpływu na nastroje. Między innymi o mały włos nie doszło wówczas do poważnej awantury pomiędzy Stachurą a Hamiltonem, który jeden ze swoich ostatnich felietonów w „Kulturze”, poświęcony Stedowi i jego twórczości, zatytułował złośliwie: „Święty Franciszek w dzinsach”. Dziwnym zbiegiem okoliczności siedziałem wówczas - wraz ze Słojewskim oraz Witkiem Parczewskim, pracownikiem sekretariatu Zarządu Głównego ZLP - przy tym samym stoliku, obok podtrzymującego sufit sali filara, co podczas pamiętnego wieczoru autorskiego Steda 2 lutego 1960 r.

gdy także draka wisiała w powietrzu.

W 1968 r. ukazuje się drukiem poemat Edwarda Stachury - „Po ogrodzie niech hula szarańcza” (uhonorowany w 1969 r. Nagrodą im. Stanisława Piętaka); w tym samym roku Stachura wydaje poemat – „Przystępuję do ciebie”; w roku 1969 wychodzi pierwsza powieść Steda - „Cała jaskrawość”...

Rozpoczyna się seria podróży Stachury po świecie. Wiosną 1969 r. wyjeżdża do Meksyku na roczne stypendium przyznane przez tamtejszy rząd; studiuje na uniwersytecie język hiszpański, historię literatury południowoamerykańskiej, tłumaczy z hiszpańskiego na polski i z polskiego na hiszpański. M. in. przygotowuje antologię polskich opowiadań „Sto lat noweli polskiej”, wydaną w języku hiszpańskim. Tam też, w Meksyku, rozpoczyna pisanie swojej drugiej powieści – „Siekierzada albo Zima leśnych ludzi”. Książka ukazała się w 1971 r. W tymże 1971 r. - podróż na Bliski Wschód: Stachura odwiedza Damaszek i Bejrut...

Potem... potem zaczyna się wielka podróż Stachury przez Polskę. Niby nic nowego - wszak podróżowanie jest dla Steda sposobem życia i formą tworzenia. Ale tym razem spogląda on chyba na to swoje polskie wędrowanie z innego dystansu; może jest to odkrywanie po raz drugi tych samych miejsc, spotkanie znajomych ludzi, aby dokonać ich nowej oceny - z perspektywy minionych lat, własnej dojrzałości, zagranicznych, zamorskich podróży i doświadczeń...? Wynikiem - będzie opowieść-rzeka „Wszystko jest poezja” (1975 r.).

Na kartach „Wszystko jest poezją” niejeden raz natykamy się na Lublin i Lubelszczyznę...

Kiedy latem 1972 r.

wróciłem do redakcji po wielomiesięcznym pobycie w Londynie, stwierdziłem z miłym zaskoczeniem, że nazwisko Edwarda Stachury znowu, po siedmioletniej przerwie, jest obecne na łamach „Kamień”. Oto w numerze 12. (z 4 VI 1972 r.) na pierwszej stronie, pojawiły się trzy utwory Steda; były to teksty jego piosenek: „Życie to nie teatr”, „Nowy dekalog - czyli dziesięć wskazań i dziesięć przeciwwskazań dla ciebie, sieroto nieboża Zygmysiu K.” oraz „Na błękitnie jest polana”. W numerze 16 (z 16 VIII 1972 r.) zamieszczono trzy inne piosenki Steda: „Jestem niczyj”, „Błogo bardzo słaWił będę ten dzień” i „Co warto”. Nawiasem mówiąc, był to jubileuszowy, 500 numer pisma; zamieszczali w nim swoje, utwory: Kazimierz Andrzej Jaworski, Anna Kamieńska, Julian Kawalec, Jerzy Krzysztoń, Władysław Machejek, Tadeusz Śliwiak, Witold Zachenter i wielu innych znanych autorów.

To pojawienie się Stachury na Lubelszczyźnie wiązało się z jego, wspomnianą już wyżej, wielką podróżą przez Polskę, a także z jego kontaktami towarzyskimi z mieszkającym w Lublinie Kazimierzem Grześkowiakiem, i wreszcie posiadało związek z mającym się odbyć w Kluczkowicach koło Opolą Lubelskiego, w tamtejszym Technikum Ogrodniczym, wieczorem autorskim. W technikum tym, jako polonistka pracowała koleżanka Steda z okresu lubelskich studiów, Władysława Zossel, z którą od pewnego czasu pozostawał w korespondencji, umawiając się na ów wieczór, ale coś ciągle stawało na przeszkodzie. I tym razem zresztą, latem 1972 r., nie doszło także do planowanego spotkania, choć Stachura

dotarł już do Lublina i wpadł do redakcji „Kameny”, gdzie złożył maszynopisy. Nie doszło do wieczoru autorskiego również w kilka miesięcy później, w końcu października, gdy w drodze do Kluczkowic Stachura znowu zatrzymał się w Lublinie. A to, dlatego, że Sted, wybrawszy się z Grześkowiakiem i jeszcze dwoma innymi kolegami do Jakubowic pod Lublinem, gdzie biesiadowali w cieniu ruin zamku, przy kieliszku i płonącym ognisku, spadł z drzewa, na które wspiął się chcąc nałamać suchych gałęzi. Upadek był nieszczęśliwy: Stachura miał pęknięte żebra, mocno potłuczoną rękę i chyba pęknięty obojczyk. Musiał wracać do domu, do Warszawy. Opis eskapady do Jakubowic oraz samego wypadku znajdujemy na kartach „Wszystko jest poezją”.

A u Kazimierza Grześkowiaka, (którego wówczas popularnie zwano w Lublinie Saszą) zachowała się kartka Stachury, dotycząca tamtego wieczoru:

Warszawa, 31.X.1972. [...]

Drogi Sasza,

W niedzielę byłem na pogotowiu na Sławińskiego. Zabalsamowany zostałem, to znaczy żebra i ręka na temblaku. Spałem w „Lubliniance”, noc miałem straszliwą. Dzień nie lepszy. Cudem dojechałem na gapę na Rębkowską street l m. 15 (Adres warszawskiego mieszkania Stachury - M.D.). Teraz leżę i liżę rany. To trochę potrwa.

Został w Twoim wozie zielony sweter gruby. Przyślij albo włóż do szafy, a ja go przy najbliższej [okazji] odbiorę.

Ściskam Cię - Sted.

Wieczór autorski Stachury odbył się ostatecznie w Kluczkowicach w miesiąc później, 30 listopada 1972 r., gdy Sted, już jako tako wydobrzył po wypadku, i gdy znowu wyruszył w podróż, wzdłuż Wisły - od Inowrocławia aż po Annopol. Ten wieczór, i tę podróż, opisuje także we „Wszystko jest poezją”.

Odnowiona znajomość z Władysławą Zossel i więzy przyjaźni, jakie zadzierzgnęły się wówczas pomiędzy nią oraz jej matką a Edwardem Stachurą, stały się okazją do wieloletniej korespondencji wymienianej pomiędzy gościnnym domem w Kluczkowicach a Warszawą. A następnie - Warszawą i Lublinem, gdy przeniosła się tam p. Zossel.

Ostatni list, jaki został przez Stachurą wysłany do Lublina, to chyba właśnie ten - adresowany do Władysławy Zossel-Wojtysiakowej, w odpowiedzi na jej kartkę świąteczną; list z 12 stycznia 1978 r.:

Władko,

Piszesz, życząc noworocznie: „Jasnej Gwiazdy dla mroków ciała”.

Ciało nie ma mroków; ciało i jasna gwiazda - to jest to samo. Mrokiem jest to, co zamieszkuje ciało. Co to jest?

Się to nazywa. JA [...]

List był bez podpisu.

25 lipca 1979 r. zadzwonił do redakcji Kazio Grześkowiak i powiedział, że poprzedniego dnia Sted odebrał sobie życie.

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 26, s. 4-5.